

## JANUSZ KRUPSKI

ur. 1951; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Warszawa, PRL
Słowa kluczowe	stan wojenny, opozycja w PRL, życie polityczne, Służba Bezpieczeństwa

### Porwanie przez Służbę Bezpieczeństwa

Porwanie związane było z moim przyjazdem do Warszawy. To było w dniach 20 i 21 stycznia [1983 r.]. Wybrałem się wtedy na dwa dni do Warszawy, chciałem odwiedzić znajomych, u których ukrywałem się [przed internowaniem]. Było dla mnie oczywiste, że te mieszkania były już wcześniej namierzone przez Służbę Bezpieczeństwa, więc nie miałem żadnych oporów, żeby tam trafić, zdając sobie sprawę, że esbecy mogą za mną chodzić. Chciałem też drugiego dnia spotkać się z Elżbietą Nalewczyńską, umówiłem się z nią w mieszkaniu Magdy Jeglińskiej. Chciałem doprowadzić do takiej konfrontacji, by mieć przekonanie, czy ona jest współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa, czy nie. Nie miałem tych wątpliwości, jeśli chodzi o Hankę Borucką, natomiast w stosunku do niej miałem i chciałem to wyjaśnić.

Do Warszawy przyjechałem 20 [stycznia] rano i już na dworcu w Warszawie zorientowałem się, że ktoś za mną jedzie. Odprowadziłem na przystanek autobusowy moją późniejszą żonę Joannę [Puzyńkę], która pojechała do siebie do domu, a sam wykorzystując różne zaułki, które były pod rondem na ul. Chałubińskiego, pozbyłem się tego tzw. ogona i wyruszyłem w Warszawę. Pozbycie się tego młodego człowieka, który za mną chodził, nie wynikało z chęci, że chciałem te swoje wizyty w Warszawie utajnić, nie, to były właśnie takie spotkania, których nie musiałem ukrywać, zrobiłem to bardziej, jak to się mówi, dla sportu.

Przyjechałem do Warszawy mniej więcej o godzinie dziewiątej. Już po wszystkim dowiedziałem się, że około godziny jedenastej do mieszkania rodziców Joasi, moich przyszłych teściów, przyszło trzech oficerów Służby Bezpieczeństwa, jednym z nich był kapitan Grzegorz Piotrowski. Zapytali o to, gdzie ja przebywam. Joanna odpowiedziała, że rozstaliśmy się na dworcu i ona nie wie, gdzie ja jestem. Kapitan Piotrowski powiedział: „Przy tak zażyłej znajomości pani nie wie, gdzie pan Krupski jest?”. Powiedział, że chce przeprowadzić ogląd mieszkania, że to nie jest rewizja, czyli chcieli się zorientować, co w tym mieszkaniu było. Do przeprowadzenia takiego oglądu nie był konieczny nakaz prokuratorski. I on to rzeczywiście uczynił, po czym

się pożegnał i oficerowie wyszli.

[21 stycznia] po przeprowadzeniu rozmów w tych rodzinach, u których się ukrywałem, przyszedłem na godzinę czternastą do mieszkania na Mokotowie, które wynajmowała Magda Jeglińska i gdzie spodziewałem się zastać Elżbietę Nalewczyńską. Zauważyłem, że na wysokości tego mieszkania stał fiat 125 z kompletem młodych mężczyzn w środku, więc widziałem, że to mieszkanie było pilnowane i moje wejście obserwowane. Nie doczekałem się Nalewczyńskiej, nie przyszła. Myślę, że to była decyzja Służby Bezpieczeństwa, żeby nie dopuścić do takiej konfrontacji. Posiedziałem tam mniej więcej godzinę, rozmawiając z Magdą Jeglińską. Ponieważ miałem jeszcze chwilę czasu do umówionego spotkania z Joasią, bo mieliśmy razem wracać do Lublina, poszedłem do Pałacu Kultury, do księgarni ORPAN-u i tam spędziłem kolejną godzinę.

Wychodziłem z ORPAN-u około godziny szesnastej. Przy wyjściu z księgarni, tam były takie drzwi obrotowe, zobaczyłem grupę mężczyzn. Dwóch było odwróconych plecami, a jeden był do mnie zwrócony twarzą i był to oficer Służby Bezpieczeństwa, który kilka razy przeprowadzał rewizję u mnie w mieszkaniu [w Lublinie]. Znałem go z widzenia. Był to porucznik [Alfred] Szewera. Pomyślałem wtedy, że to spotkanie nie jest przypadkowe i że raczej nie dotrę na dworzec, tylko może się to skończyć w jakimś areszcie czy na komendzie milicji, bo takie spotkania zwykle się tak kończyły. I rzeczywiście, gdy wyszedłem z Pałacu Kultury i schodziłem ze schodów na taki podjazd, w pewnym momencie usłyszałem z tyłu pytanie: „Krupski?”. Nawet nie zdołałem odpowiedzieć i znalazłem się w środku fiata 125p. Zostałem tam wepchnięty i samochód ruszył.

W samochodzie był kierowca, a po obu moich stronach na tylnym siedzeniu siedzieli dwóch oficerów, którzy mnie do tego samochodu wepchnęli. Jechaliśmy w stronę Żoliborza, wydawało mi się, że na komendę w Pałacu Mostowskich, ale minęliśmy go i jechaliśmy w stronę Huty Warszawa, czyli zbliżaliśmy się do domu, w którym mieszkała Hanka Borucka. Myślałem, że wieźli mnie do jej mieszkania na jakąś konfrontację, ale minęliśmy ten dom i zaczęliśmy jechać w kierunku Puszczy Kampinoskiej. Kiedy mijaliśmy Izabelin Laski, uświadomiłem sobie, że ta droga prowadzi do lasu i że to może być droga tylko w jednym kierunku, bez powrotu. Zacząłem się wtedy zastanawiać, czy rzeczywiście to nie jest jakiś koniec wędrówki. Jechaliśmy w milczeniu. Przez całą drogę nie rozmawiałem z nimi, oni mnie o nic nie pytali, ale kiedy już minęliśmy Izabelin Laski, zapytałem ich: „Czy zamierzacie mnie tutaj rozwalić?”. Jeden z nich odpowiedział: „Nie. My jedziemy do Gdańska, ale pomyliliśmy drogę. Jedziemy do Gdańska, tam gdzie pan zdradził swoich kolegów”. To co oni powiedzieli było tak absurdalne, że ja wzruszyłem ramionami i na tym zakończyła się ta rozmowa, ale nadal nie wiedziałem, co będzie się działo.

Wjechaliśmy do miejscowości Truskaw, której wcześniej nie znałem. Zauważyłem, że jest tam rondo, przystanek autobusowy linii nr 708, z którego taka leśna przecinka prowadziła w głąb lasu. Po drodze minęliśmy kilka domów. Byłem tam niedawno i

obecnie jest to bardzo zabudowany teren, wtedy wyglądało to jednak inaczej. Wjechaliśmy w głąb lasu, wtedy samochód się zatrzymał i jeden z tych porywaczy powiedział: „To wysiadamy”. Wysiadłem z samochodu. Obok mnie stanął też drugi z tych porywaczy. Samochód cofnął się kilkanaście metrów i reflektorami oświetlał nas, stojących na tej przecince. Spod Pałacu Kultury wyjechaliśmy kilkanaście minut po godzinie czwartej, jechaliśmy może pół godziny, więc to było przed godziną siedemnastą. Było ciemno, bo to był styczeń. Było zimno, był mróz, w lesie leżał śnieg.

Jeden z porywaczy, chyba porucznik [Ryszard] Skokowski, powiedział mi, żebym wyjął to, co mam w kieszeniach. Byłem ubrany w ciepły półkożuszek, miałem przy sobie książkę „[Polscy] robotnicy” [Jana] Malanowskiego, którą kupiłem w księgarni ORPAN, kilka drobiazgów, natomiast nic takiego, co mogłoby wzbudzić szczególne zainteresowanie tych oficerów Służby Bezpieczeństwa. Kiedy tak stałem, Skokowski trzymał mnie za ramię, a w drugiej ręce trzymał pojemnik – jak byłem przekonany – z gazem paraliżującym. W sytuacji gdybym się szarpał, wrywał, mogłem się spodziewać, że dostanę z tego pojemnika po oczach i w ten sposób zostanę obezwładniony. Ale ja nie byłem zdecydowany na to, żeby się z nimi szarpać czy wrywać, w gruncie rzeczy byłem przygotowany na wszystko, co mogło mnie wtedy spotkać. Drugi z nich wyciągnął z torby butelkę o pojemności około półtora litra, kazał mi zdjąć kurtkę, pod kurtką miałem lekki sweter i koszulę, i kazali mi zdjąć buty. Rozwiązałem buty, ściągnąłem, postawiłem. Kazali mi położyć się twarzą do ziemi, to był właściwie śnieg. Widząc butelkę w ich rękach, pomyślałem, że może to benzyna i oni mnie podpalą, takie myśli przebiegały mi po głowie. Poczułem strasznie piekący ból od szyi po pośladki i nawet nie wiem, co się wtedy stało. Mogłem ze strachu zamknąć oczy, może na chwilę straciłem przytomność, tego momentu nie potrafię już odtworzyć. Kiedy podniosłem po jakiejś chwili głowę, ich już nie było. Czułem przede wszystkim, że coś mnie paliło na plecach i taki cuchnący zapach, ale byłem przytomny. Zobaczyłem, że w butach było trochę tego płynu i na wewnętrznym kożuszku kurtki też były plamy. Oni musieli wylać resztkę tego płynu do butów i na kurtkę.

Włożyłem buty i kurtkę, rozejrzałem się, znałem kierunek do przystanku i zobaczyłem, że stał na nim autobus linii 708. Mimo bólu podbiegłem, żeby zdążyć na ten autobus. Były tam może jedna czy dwie osoby jak wchodziłem, bo to był początkowy przystanek. Wszedłem, stanąłem bliżej drzwi, żadna z tych osób nie odezwała się do mnie, ja też nic nie mówiłem. Autobus szybko ruszył i jechaliśmy w stronę Warszawy, po drodze zbierał pasażerów. Poza uczuciem palącego bólu i smrodu, który w zamkniętym autobusie był bardzo silny, czułem się bardzo speszony tą sytuacją, bo ludzie przyglądali mi się i nie padło żadne słowo. Nie wiem jak oni odbierali mnie i ten cuchnący zapach. Kiedy dojechaliśmy do rogatek Warszawy, zobaczyłem, że blisko przystanku jest postój taksówek. Postanowiłem wyskoczyć, bo nie chciałem dalej jechać autobusem, tylko podjechać taksówką do mieszkania na

Żoliborzu, w którym mieszkała ciocia Joasi i ona też tam była. Powiedziałem taksówkarzowi, że zostałem porwany przez Służbę Bezpieczeństwa i dlatego tak wyglądam. On wtedy tylko zaklął i podwiózł mnie na adres na Żoliborzu, to nie była nawet duża odległość, i wszedłem do mieszkania przy pl. Henkla. Otworzył brat Joasi, Staszek. Jak mnie zobaczył, to miał wrażenie, że jestem pijany. Powiedziałem, że zostałem porwany, zaprowadzili mnie do łazienki, zdjęliśmy ubranie. Zauważyłem, że na swetrze jest taka zawieszina, ale sweter nie był przepalony. Natomiast koszula, która była z innego materiału, tak jak ten płyn był polany, od szyi aż po pas, była zupełnie przepalona, nie było nawet resztki tego materiału. W lustrze mogłem zobaczyć, że od szyi do pośladków mam taki brązowy pas, przechodzący w czerń, była to spalona skóra.

Zostało wezwane pogotowie, które bardzo szybko dotarło do mieszkania. Lekarze zapytali, co się stało. Powiedziałem w kilku zdaniach, że zostałem porwany, a oni wtedy powiedzieli, że są z „Solidarności” i od razu został między nami nawiązany kontakt, takie porozumienie. Zawieźli mnie do szpitala na Banacha, tam zostałem opatrzony, dostałem jakieś zastrzyki, przy czym lekarze powiedzieli, że zupełnie nie mają pojęcia, co to za płyn został na mnie wylany: „Musi zostać przeprowadzona analiza. Nie mamy pojęcia, czy to jest trucizna, czy tylko jakiś środek, który miał poparzyć i wywołać ten straszny smród”. Zapytali mnie, czy chcę zostać w szpitalu. Powiedziałem, że przecież się poruszam i nie chcę. Odpowiedzieli mi, żebym w przypadku mdłości lub innych objawów zgłosił się na najbliższe pogotowie czy do szpitala. Zapytali mnie też, czy mogą zadzwonić na komendę milicji, żeby złożyć informację, że mają pacjenta, który został porwany. Powiedziałem: „Jeśli musicie to zrobić, bo taki jest wasz obowiązek, to dzwońcie. Nie mam nic przeciwko temu”. Ci lekarze przy mnie dzwonili na komendę. Powiedzieli: „Mamy w szpitalu pacjenta, który nazywa się tak i tak, jest poparzony. Mówi, że został porwany i wywieziony”. Jedyne pytanie, które padło z drugiej strony, było takie: „Czy pacjent jest pijany?”. „Nie – odpowiedziano – pacjent jest trzeźwy”. Tak wyglądało przyjęcie meldunku przez milicjanta na tej komendzie. Nawet nie pamiętam, na którą komendę dzwonili. Przez cały czas w szpitalu była ze mną Joasia, wróciliśmy razem na Żoliborz, gdzie przenocowałem i rano pojechałem do Lublina.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2005-05-24, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Wioletta Wejman
<b>Transkrypcja</b>	Piotr Krotofil
<b>Redakcja</b>	Piotr Krotofil
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”